

## LESŁAW SYKUT

ur. Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, współczesność
Słowa kluczowe	II Liceum Ogólnokształcące im. Hetmana Jana Zamoyskiego w Lublinie ; Lublin ; Bilkiewicz, Krzysztof (1949- ) ; kabaret Bąbel ; Kraków ; Łódź ; PRL ; ulica Radziszewskiego ; ulica Sowińskiego ; ulica Chodźki ; ulica Noworybna ; ulica Krakowskie Przedmieście ; ulica Krakowskie Przedmieście 32 ; ulica Krakowskie Przedmieście 72 ; Miasteczko Akademickie ; współczesność ; Studenckie Bractwo Satyryczne Łoża 44 ; kabaret Łoża 44 ; Łoża 44 ; życie artystyczne ; życie kulturalne ; OKSAM ; Ogólnopolskie Konfrontacje Studentów Akademii Medycznych ; Zakopiańskie Konfrontacje Kabaretowe ; Lidzbarskie Biesiady Humoru i Satyry ; Spotkania z Balladą (program satyryczny) ; Co jest grane (program radiowy) ; restauracja Pod Strzechą ; wspomnienie o ojcu ; rodzina i dom rodzinny ; Chór Akademii Medycznej ; wyjazdy zagraniczne Chóru Akademii Medycznej ; Zakład Przemysłu Odzieżowego Gracja ; Akademia Medyczna ; służba wojskowa lekarzy ; studia medyczne ; zespół bigbeatowy Duchy ; stan wojenny (1981-1983) ; cenzura ; UB ; Kolenda, Stanisław ; Maksymiuk, Eugeniusz ; Michalec, Grzegorz ; Mijał, Lucyna (1952- ) ; Rogalski, Jerzy (1948- ) ; Sykut, Kazimierz (1923 - ) ; Szymański, Irosław (1946- ) ; Szerembel, Marek ; Wijatkowski, Maciej (1962- ) ; Wójcik, Piotr

### Lesław Sykut - całość relacji świadka historii

#### 1. Pochodzenie

Urodziłem się tu niedaleko, na Starym Mieście na ulicy Noworybnej. Noworybna chyba osiem. Ten budynek już nie istnieje, kilka lat temu zawalił się. Pod spodem był jakiś magazyn farb i taka jakby przybudówka. Są schody na górę i dom, który ma taki wewnętrzny krużganek, jeszcze w latach międzywojennych były tu koszary wojskowe. W ogóle to mam takie trochę dziwne pochodzenie. Szukałem swego drzewa genealogicznego, skąd się to nazwisko Sykut wzięło. I tak się zdarzyło, że leczyłem syna jednego pana, który zawodowo zajmował się wyszukiwaniem drzew genealogicznych. To był jego zawód. Miał kontakty w archiwach całego świata – Izraela, Grenlandii, Australii. Każdego odnalazł. I nam też znalazł przodka. To był Włoch, który był zatrudniony przez Czartoryskich do budowy pałacu w Puławach.

Potem jeszcze w okolicznych miejscowościach popełnił kilka kościołów, które stoją do dzisiaj. Dostał ziemię w Końskowoli, ożenił się z Polką i tam dokonał żywota. Już do Włoch nie wrócił. Było tutaj w lubelskim trzech takich Włochów: Bartuzi, Murad i Sykut. Tylko wtedy nazwisko pisało się Sycut, przez „c” a później po prostu zostało spolszczone, wstawiono literę „k” Tak, że kto ma [nazwisko Sykut] i jakieś korzenie w Końskowoli, to prawdopodobnie to jest nasza rodzina. To nazwisko ciągle gdzieś tam się przewija. Mój ojciec pochodzi z Lublina, urodził się tutaj. Ze dwa pokolenia wcześniej już żyły w Lublinie. Kuzyni czy bracia dziadka mieli jakieś sklepy, jakieś interesy na Krakowskim [Przedmieściu]. W każdym razie ta rodzina była zasiedziała już tutaj w Lublinie od dwóch przynajmniej pokoleń. Mama natomiast pochodziła z Wołynia. Była repatriantką. Przyjechali tutaj razem z dziadkiem w ramach repatriacji. Ciotka przed wojną miała przedszkole prywatne na Sławinku w takim dworku, który należał do jakiejś rodziny, do kuzynów. i tutaj się mogli zaczepić po prostu. W międzyczasie miasto rozdawało mieszkania żydowskie tutaj na Starym Mieście. Na początku mieszkali też w tym budynku na rogu Lubartowskiej i [Alej] Solidarności, który się zawalił swojego czasu. I potem przeniesiono ich na Noworybną. Rodzice poznali się w szkole chemicznej, gdzie pracowali jako nauczyciele. Jednocześnie studiowali na UMCS-ie.

## 2. Ojciec

Mój ojciec ma doktorat UMCS z numerem cztery. Nie znaleziono pierwszych trzech doktorantów. Czy nie żyją, czy rozjechali się po świecie? Kilka lat temu była duża uroczystość z udziałem władz województwa, prezydenta, różnych chórów, Teatru Osterwy i Filharmonii. zrobiono mu ogromną fetę, a potem w dworku Kościuszków było przyjęcie i poczęstunek. Było bardzo dużo ludzi, zjechali się profesorowie z wielu miast, ojca równolatkowie, tak że było wesoło. [Ojciec pracował na UMCS]. Z takich znaczących osiągnięć naukowych to z nieżyjącym już profesorem Hubickim, wyizolowali pierwiastek samar z tak zwanych ziem rzadkich. Do tej pory samar był w tablicy Mendelejewa, ale nikt, jak to się mówi, na oczy go nie widział. W tej chwili samar jest używany w przemyśle, w medycynie do leczenia nowotworów kości. Tak że to było ważne osiągnięcie.

## 3. Talenty dziedziczne

Dziadek grał pięknie na skrzypcach, ojciec grał na mandolinie i na różnych instrumentach. Ciotka maluje. Tak, że gdzieś po tym naszym przodku Włochu jakieś takie artystyczne [talenty] odziedziczyliśmy. Mój syn gra na gitarze elektrycznej. A zaczęło się od tego, że po prostu siedział przed komputerem tłuł na tych grach, już nie mogłem na to patrzeć. Wakacje, słońce, a tu okna pozastłaniane, mówię: „Weź gdzieś wyjdź. Weź rower, pojedź nad zalew” Nie, on gra. więc wziąłem go do miasta,

na Krakowskie, kupiłem mu gitarę taką jakąś najtańszą za 400 złotych. Pokazałem mu kilka akordów. Dałem mu taki samouczek gitarzysty, to było takie tłumaczenie z węgierskiego, chyba takiej grupy rockowej węgierskiej, tej od „Dziewczyny o perłowych włosach” był taki przebój. I po dwóch czy po trzech dniach wracam z pracy, a on pyta, jak idzie a ta solówka z „Budki Suflera”i gra wstęp do „Takie Tango” Ja wziąłem swoją gitarę, zagraliśmy we dwóch. Za parę dni pyta, czy byśmy mogli kupić jakiś piecyk i elektryczną gitarę, bo koledzy z klasy zakładają zespół garażowy, okazuje się, że jeden ma bas, drugi perkusję, trzeci ma coś tam innego. I potem na iluś tam przeglądach występował, grali jako przedskoczki na Kozienaliach parę razy. Potem gdzieś się rozsypali po świecie, a Filip [dołączył] do „Gospel Rain”

#### **4. Dzieciństwo**

Potem jak rodzice zaczęli pracować na uniwersytecie i, jak się wydzieliła Akademia Rolnicza, to przydzielano mieszkania służbowe w nowych blokach, które zostały wybudowane dosłownie w szczerym polu. Bo ten budynek przy Sowińskiego z tą stalinowską attyką i ten przy Langiewicza, który parę lat później powstał, stały w szczerym polu. Zajaczki przychodziły pod balkon, a wokół nic nie było. Potem powstał blok A i B, ten pierwszy akademik i ten cały małpi gaj. to po prostu był dziki las, jakaś stróżka tam płynęła, a my łapaliśmy traszki, salamandry. Po prostu tam były już pola. Ostatnimi zabudowaniami to chyba była wieża ciśnień tutaj na Raclawickich, dalej już nie było nic. takie było moje dzieciństwo na tym osiedlu. Osiedle to w sumie były dwa bloki. parę lat później wyasfaltowano tę ulicę, która schodziła do Głębokiej, bo wcześniej tu był bruk. I powstał następny blok po przeciwnej stronie, Langiewicza chyba, jedenaście. To byli wszystko pracownicy Akademii Rolniczej, z czasem profesorowie. Tam już trzecie czy czwarte pokolenie mieszka i wszyscy ciągle są związani z uczelnią. Moja siostra się urodziła w [19]56 roku i jakoś tak rok później przeprowadziliśmy się na Sowińskiego. Na uczelni były tylko dwa budynki tak zwanej starej chemii i praktycznie więcej nic tam nie było. Reszta [uczelni] mieściła się w liceum Staszica, a zakłady dydaktyczne były porozrzucane po całym mieście. Tak że ci studenci też krążyli.

#### **5. Wspólnota mieszkańców**

W tym naszym bloku mieszkali różni dziwacy. Profesor Janczewski, profesor Paszewski słynny z tego, że jak się zaśmiał, to było go słychać kilka ulic wkoło. On podróżował, zwiedzał świat, jeździł za granicę, również do Mongolii, przywoził stamtąd pamiątki. miał całe mieszkanie zawieszane łukami tatarskimi, tarczami, jakimiś maczugami i tak dalej. Tak że myśmy pod byle pozorem starali się tam dostać. Były rodziny, które miały fortepiany, można było się pobawić w burze, pioruny

i deszcz padający. były takie osoby, które dostawały paczki z zagranicy od rodzin. Więc koledzy mieli, jak to się mówi, wypasione, jak na tamte czasy zabawki, kolejki elektryczne i tak dalej. Były dwa telewizory w bloku, to szło się z ciapami do kolegi na przykład na film disneyowski, czy jakieś inne filmy, które były transmitowane na tym jednym, a potem dwóch chyba programach. wszyscy chodzili po kolei na telewizję. Potem były dwa samochody w bloku. Była nasza syrenka i jeszcze profesor Żuliński miał starą warszawę. Reszta jeździła motocyklami. Jeszcze z takich dawnych czasów [pamiętam] akcję socjalną Akademii Rolniczej. To było w niedziele, bo wtedy w soboty jeszcze się pracowało, na podwórko po prostu przyjeżdżała ciężarówka z takimi ławkami, jak to się na majówki jeździło i z taką budą parcianą. Całe towarzystwo ładowało się po prostu do środka z psami, z piłkami, z dziećmi. Jechaliśmy nad jezioro Piaseczno czy nad Firlej. I cały dzień tam było biwakowanie. Potem tą ciężarówką pod tą parcianą budą na tych ławkach się wracało. I było bardzo wesoło, były śpiewy, i tak dalej i były też takie atrakcje, że nad Piasecznem piorun uderzył w panią Żebracką, która szła z metalowym zderzakiem. Poparzył ją, poraził. Musieliśmy ją reanimować.

Te bloki wszystkie razem, jak to się mówi, kolegowaliśmy się, bo rodzice znali się z pracy z wieloma rodzinami, jeździliśmy wspólnie na wakacje gdzieś nad morze, na Mazury z namiotami. Potem już coraz więcej było tych samochodów. Też głównie syrenek, trabantów, motorów z przyczepami, w miarę jak towarzystwo się zaczynało bogacić i nabywało je na raty. Zresztą nasza syrenka też była na raty. I ruszaliśmy poza Lublin. ale te drogi były marne. Na Piaski była szutrówka, na Kraśnik była szutrówka. Jedyna droga, która była brukowana, to była na Warszawę. Ta droga była zrobiona z kostki. Ale ruch był taki, że trawa rosła między tymi kamieniami. Dużego ruchu nie było. Tu na rogatce powstała stacja benzynowa. Ręcznie się [pompowało] benzynę taką wajchą. Przychodził pan od paliwa i ruszał taką wajchą. Była pompa i pompowało się do takich baniek, bo wtedy samochody były dwusuwowe, więc trzeba było do tych syrenek i do trabantów mieszać paliwo z olejem.

## 6. Szkoła

Na początku wysłano mnie do szkoły podstawowej na Długosza, ale po kilku miesiącach przenieśliśmy się do nowusieńkiej szkoły numer sześć na ulicy Czwartaków, świeżo oddanej. To jeszcze chyba nie była tysiąclatka, ale była nowusieńka i taka priorytetowa. Opiekowało się nią wojsko, bo tam przez siatkę był pułk, więc tam wojsko sprawowało pieczę. Wszystko mieliśmy zawsze wysprzątane, wyremontowane. Żołnierze nam bez przerwy pomagali. Po tej szkole poszedłem do liceum Zamojskiego, a potem zdałem na studia i zostałem medykiem.

Od początku myślałem o biologii. Interesowałem się biologią, zawsze trzymałem jakieś jaszczurki i różne inne zwierzątka, miałem bardzo dobre stopnie z wszystkich tych przedmiotów biochemicznych, z biologii, chemii i tak dalej. Kolega z ławki

poszedł na weterynarię. A ja w ogóle to chciałem być kapitanem statku dalekomorskiego. Prenumerowałem miesięcznik „Morze” czytałem te wszystkie opowieści o dalekich krajach, ale rodzice jak się dowiedzieli, że ja tak kombinuję, żeby do tej szkoły morskiej [zdawać], to był wielki szlaban, jak to się mówiło wtedy. Przedstawili mi przykład syna znajomych, który skończył Szkołę [Rybołówstwa Morskiego] chyba w Szczecinie i na tych trawlerach gdzieś tam na Falklandach się tłukł ileś miesięcy w sztormie i w zimnie. później rodzina mu się rozpadła, bo po prostu to nie jest życie. Zarabiał się może wtedy duże pieniądze na tym, można było coś zwiedzić w tych różnych portach, gdzie tam dostarczano tą rybę, ale to nie było życie.

## 7. Wspomnienia z liceum im. Jana Hetmana Zamoyskiego w Lublinie

Profesor Malec uczył mnie matematyki, profesor Górczyński, czyli słynny „Rura” uczył mnie chemii, a profesor Osiakowa polskiego. była jeszcze profesor Strojna, która nas uczyła biologii, a dziewczyny WF-u i profesor Jeźwierski. to z tych starszych profesorów. Był niedawno [jubileusz] szkoły, byliśmy na spotkaniu. straszny spęd. Dobrze, żeśmy w miarę wcześniej przyszli, to udało nam się gdzieś jakieś miejsce siedzące zająć na tej głównej akademii. Nasza klasa, a to była klasa męska, spotyka się regularnie. Do tej pory co pięć lat spotykaliśmy się, ale teraz w zeszłym roku dwóch kolegów zmarło. Andrzej Bednarek i Olek Dziedzic. Obaj nie byli na poprzednim spotkaniu, bo coś im tam wypadło, więc teraz wszyscy przychodzą, bo nikt nie chce być następnym po prostu. Z naszej klasy kilku kolegów już nie żyje, właśnie głównie jakieś zawały, jeden wypadek. Bardzo dużo jest lekarzy z naszej klasy. Jest tam chyba ośmiu czy dziesięciu lekarzy. A Olek był lekarzem weterynarii województwa warmińsko-mazurskiego w Olsztynie, czyli też był na wysokim stanowisku.

Liceum [im. Jana Hetmana Zamoyskiego] wtedy było męskie. Ale już wchodziła koedukacja. Już w naszym roku równoległe powstały dwie klasy mieszane, gdzie było pięć czy siedem dziewczyn. wiem, że miały problem z toaletą, bo nie było toalety damskiej i nikt nie chciał im odstąpić. Więc były walki, pamiętam to. A potem już z każdym rokiem dziewczyn przybywało i wszystkie klasy były koedukacyjne. u nas jeszcze były dwie męskie i dwie koedukacyjne.

W [19]71 roku, poszedłem na studia, chyba –pisałem ostatnio życiorys i już nie pamiętam. studia medyczne trwały sześć lat. Skończyłem w siedemdziesiątym ósmym, bo miałem rok dziekanki. Wpadłem pod samochód, pod żuka Urzędu Wojewódzkiego zresztą, w czasie sesji egzaminacyjnej! Przeleżałem całe lato w szpitalu, potem rehabilitacja. Niestety musiałem iść na dziekankę, bo już nie dogoniłem [w nauce] swoich kolegów. Więc moje studia trwały siedem lat. Dlatego zacząłem chodzić na próby, bo miałem wolny czas, a ten kabaret wtedy już istniał.

## 8. Ja tak grałem, grałem i było mi mało

Ja w ogóle to grałem na instrumentach. W szkole podstawowej grałem w zespole mandolinistów, ponieważ pan profesor Kiecana powiedział, że mam za krótkie palce i na gitarze grać nie będę. Więc grałem na mandolinie. Była taka słynna Orkiestra Mandolinistów [Edwarda] Ciukszy. Zawsze po sygnale z wieży mariackiej o dwunastej na drugim programie [Polskiego Radia] był prawie półgodzinny program mandolinistów Ciukszy. To był słynny zespół, Orkiestra Mandolinistów Edwarda Ciukszy, tak się nazywał. To był taki wzór i w wielu szkołach powstały kapele mandolinowe. były jeszcze flety, były gitary, potem akordeony. Jeździliśmy z koncertami po sanatoriach, po domach opieki społecznej, domach starców Uświetnialiśmy wszystkie akademie. W liceum znowu był zespół bigbitowy „Duchy” Jak koledzy odeszli, to myśmy po nich przejęli, jak to się mówi, schedę i sprzęt. I graliśmy przez całe cztery lata tego liceum na różnych wieczorkach, graliśmy po różnych szkołach, to był zespół wędrujący. jest taki słynny szantymen, [Ryszard] Borkowski –to też kolega z tego naszego zespołu. ich było dwóch, dwóch braci Borkowskich. może nie bliźniaków, ale podobnych do siebie. Jeden jest takim znanym szantymenem. Śpiewa z gitarą, jeździ po Polsce. Kiedyś w „Arkusie” mieliśmy jakiś wspólny występ. Był Jasio Wroczyński, który, jak to się mówi, wszystkich wykładał. jest w tej chwili w Belgii, wyemigrował już dawno. też jest po Akademii Medycznej. był Andrzej Matusewicz, z którym żeśmy grali w tym zespole. i Jasio Blajerski na perkusji, któryś z Borkowskich grał na gitarze, a ja grałem na solówce. Pamiętam, mieliśmy sprzęt NRD-owski Jonica. I wtedy na jakiejś studniówce pan dyrektor kazał ściszyć, bo nasz wzmacniacz 12-watowy był za głośny. Teraz się gra na kilkuset watowych, a wtedy 12 wat wzmacniacz był za głośny. Ja tak grałem, grałem i było mi mało. Poszedłem na studia i mnie roznosiło. Swojego czasu występowałem w konkursach piosenki studenckiej, w eliminacjach lubelskich w „Chatce Żaka” Najpierw zapisałem się do chóru Akademii Medycznej, w którym śpiewałem prawie dziesięć lat. Równocześnie zacząłem się interesować Lożą. Na początku to chodziło się z jakąś dziewczyną oglądać spektakle i oczywiście na występy kolegów. Potem awansowaliśmy do obsługi szatni, sprzedaży gadżetów, rozwieszania plakatów po mieście. Człowiek był bardzo przejęty. Takie były początki, jak u kowala w terminie –dymanie w miechy, noszenie wody, opiekowanie się dziećmi kowalowej, tak to wyglądało na początku. Doktora Szymańskiego znałem, to był starszy kolega na tej uczelni. Miał zajęcia ze studentami na ginekologii, więc na tej zasadzie żeśmy się znali, jako uczniowie. Zналиśmy się jeszcze trochę z innej strony, bo jego żona pracowała jako sekretarka w instytucie u mojego ojca. I często bywało tak, że on ją podwoził do pracy pod uniwersytet, a mnie zabierał z przystanku przy Marysi [pomnik Marii Skłodowskiej-Curie].

## 9. O Łoży 44

Co można powiedzieć o Łoży? Nie pamiętam kto mnie do tej Łoży, jak to się mówi, skaptował. Wydaje mi się, że Marek Szerembel, bo myśmy byli razem na roku i tak mi się wydaje, że my w tym samym czasie przyszliśmy do Łoży. Z czasem, jak się pan Szymański, reżyser, autor, i tak dalej, zorientował co umiemy, że gramy na instrumentach, że śpiewamy, to mnie i tych nowo przyjętych kolegów umieszczał w różnych chórkach. Niektórzy prawie nigdy nie mieli żadnej roli, ale byli związani z Łożą, nosili sprzęt i jeździli na te wszystkie obozy. Czasem ktoś raz wystąpił, zaśpiewał tylko jakiś jeden refren.

W tych pierwszych trzech spektaklach, to chyba był „Morbus” „Skrypty z Krypty” i „Memento Mori Blues” byłem tylko widzem. Pierwszy raz wziąłem udział jako artysta chyba w „Wyrobisku” Później z „Wyrobiskiem” pojechaliśmy do Łodzi na OKKSAM, czyli Ogólnopolskie Konfrontacje Kulturalne Studentów Akademii Medycznych. Wszystko, co mogły uczelnie medyczne pokazać, kto co miał do pokazania z zakresu kultury –malarze, rysownicy, chóry, kabarety, zespoły pieśni i tańca, całe to towarzystwo spotykało się w Łodzi. Tam zajęliśmy pierwsze miejsce. W Łodzi na tych występach poznałem też moją żonę –studiowała wtedy stomatologię w Łodzi, mieszkała na Piotrkowskiej i była przyjaciółką przewodniczki, którą przydzielono do naszej grupy. Raz nie mieliśmy się, gdzie podziąć między ostatnim występem a dyskoteką, która była dla uczestników i przewodniczka zaprowadziła nas do swojej koleżanki, która mieszkała w centrum, na Piotrkowskiej. W ten sposób, właściwie przez Łożę poznaliśmy się i jesteśmy do tej pory małżeństwem.

Próby były na „Chodźkowie”[przy ulicy Witolda Chodźki], w tym pierwszym akademiku vis-à-vis stołówki. Mieliśmy tam swój lokal, cały wyklejony takimi kaflami dźwiękochłonnymi. Było mnóstwo plakatów, zdjęć. To było jedno wielkie muzeum. I wesołe towarzystwo. Na próby rzeczywiście nie wolno się było spóźniać. Kto się spóźnił, to się kładł na ławkę i jak w salonowcu, wszyscy, jak to się mówi, [dawali mu klapsa]. Nawet kiedyś taki wierszyk napisałem, bo na któreś tam lecie każdy miał napisać fraszkę na kolegów poszczególnych. Potem to odczytywaliśmy. To było tak: „Wszelka mu rozrywka obca, grał by tylko w salonowca. Chodź to barbarzyństwo prawie, chętnie kładę się na ławie. Potem radość niepojęta walić w d... asystenta” Bo jak on się spóźnił, to mu też nikt nie przepuścił. Dziewczyny żeśmy tak lekko bili tylko, no ale ...

Trochę grałem tam na skrzypcach, trochę podgrywałem na mandolinie, trochę też grałem na gitarze. bywało, że w Polskim Radio robiliśmy podkłady [muzyczne] do jakichś radiowych [programów], wtedy była moda na te playbacki. Byliśmy w telewizji krakowskiej chyba z programem „Rozpuszczalnik” To były takie różne teksty pozbierane, poskładane tak, żeby się to kupy trzymało. Mieszkało się w Krakowie w Domu Turysty w pokojach wieloosobowych, tak że wesoło było, dobrze żeśmy się bawili.

Szymański dobrze znał Grechutę i jak mieszkaliśmy w hotelu „Pod Różą” to Grechuta

nas zaprosił na swój koncert. A potem zabrał nas do „Piwnicy Pod Baranami” Tam wprawdzie się jakoś ulotnił, gdzieś zginął, ale w każdym razie Irek miał takie różne kontakty. Pisał sztuki i przez to znał wielu, wielu ludzi sceny, teatru. wygrzebałem kilka książek z tekstami, które napisał. to są białe kruki, tego się nie kupi.

## 10. Wyjazdy, festiwale, przeglądy

Były wyjazdy na przeróżne występy. Fajny był wyjazd do Białegostoku, gdzie graliśmy w „Sepularium” nowym klubie studenckim w kształcie łodzi podwodnej, a właściwie takiego dysku. Ogromna sala. Ciężko było tam dekoracje zawiesić, bo przecież musiała być jakaś kurtyna, jakieś kulisy. A to po prostu było w kształcie stadionu, gdzie wokół były trybuny, miękkie fotele, a na dole takie jakieś klepisko do tańca. Jak Global w Sztokholmie, ta sala widowiskowa w kształcie ogromnej piłki futbolowej, jaka została po którychś mistrzostwach świata. To też robi wielkie, niesamowite wrażenie. Tam okna były, jak w łodzi podwodnej, okrągłe bulaje wkoło. Mieliśmy problem z przyczepieniem tych dekoracji, bo po prostu nie było do czego przywiązać tych wszystkich linek, drutów. Oczywiście, wiadomo było, że artystą się jest tylko przez parę minut, a tak to się jest robotnikiem. Skrzynie ze statywami, setki metrów kabli, tych wzmacniaczy, tego całego oświetlenia, tych reflektorów. To wszystko trzeba było własnymi rękami zatargać, rozstawić, wszystko wysterować. Jakoś mieściliśmy się do robura. Robur to był taki średniej klasy autokar wypożyczany przez radio lubelskie. Tam się mieściło jakieś, nie wiem, dwadzieścia, dwadzieścia pięć osób. W bagażnikach jechał cały sprzęt, skrzynie ze statywami, wzmacniacze, to całe nagłośnienie, mikrofony, oświetlenie, jakieś kotary, żeby jakiś był nastrój. Ciężko bywało. To było dziwne, bo to był ni to kabaret ni to teatr. Tego się nie dało zaszufładować. Szczególnie już pod koniec, te „Notatki z Marszu” czy „Fragment Większej Całości” gdzie występowało tych trzech wędrowców i ten chór dośpiewujący różne puenty do tego, co się działo. Tak, że ludzie nie wiedzieli, co to jest. Jury zwykle też miało ten problem, czy to jeszcze kabaret, czy już teatr.

Byliśmy jeszcze na Festiwalu Piosenki Kabaretowej w Teatrze Starym w Krakowie. Na Złoty Rogach Kozicy w Zakopanem, tam chyba drugie miejsce zajęliśmy wtedy. Byliśmy na Złotej Szpilce w Lidzbarku Warmińskim. Wtedy chyba pokonał nas „Gwóźdź” [Krzysztofa] Daukszewicza, zajęliśmy drugie miejsce, a trzecie zajął kabaret „Bąbel” ze Staszica. Tacy młodzi ludzie. Tam zresztą niejaki pan [Jerzy] Klesyk chyba [działał] w tym kabarecie, tak mi się wydaje. Młodzi ludzie, tacy rumiani, przejęci, ale naprawdę mieli dobre teksty i tak śmieszyli publiczność. To był kabaret sytuacyjny, nie mieli tam nic, jak to się mówi, politycznego do przekazania. Natomiast my to godziliśmy w pryncypia, jak już się potem dało. Z tych głupot, z czarnego humoru i tak dalej po prostu się stał kabaret polityczny. Wiele rzeczy tam ciężko było przemycić, bo cenzorzy cięli ten tekst jak tylko mogli. To potem nam Szymański mówił, co poszło, co nie poszło, dlaczego musiał przerobić i tak dalej. Czasami polityczna była



nawet taka rzecz, jak ktoś mówi, że wszystko się skraca: „W moim ogrodzie nawet marchewka karotka” Nie można było powiedzieć, bo to po rosyjsku, a już każdy się śmiał, cała sala z tej karotki. Pamiętam, jak byliśmy na Złoty Rogach Kozicy w Zakopanem i występował chyba kabaret „Protekst” z Krakowa. Tam leciały takie ciężkie rzeczy ze sceny, że ambasador Związku Radzieckiego Aristow, który był na sali z tą całą świtą ostentacyjnie po prostu razem z ochroniarzami wyszedł. Tak że tam powiało, jak to się mówi, chłodem po tej sali. Byliśmy też parę razy w Rotundzie Krakowskiej na tych festiwalach. Był też i [Festiwal] Piosenki Studenckiej, gdzie kiedyś występowałem z gitarą. Takich różnych bardów tam były setki z całej Polski. Krzysio Zajączkowski mój kolega z roku –teraz pracuje na onkologii, jest urologiem –pisał teksty, a ja to śpiewałem. Jeszcze gdzieś tam mam w domu w jakichś zeszytach te piosenki.

Teksty Szymańskiego trafiły pod strzechy. To śpiewa cała Polska. Ludzie nawet nie wiedzą kto jest autorem. W zeszłym roku byliśmy w Wierzbie, to jest taki ośrodek PAN-owski tutaj w miejscu, gdzie się [jezioro] Mikołajskie z Bełdanami i ze Śniardwami łączy. Pojechałem sobie rowerkiem taką ścieżką polną i dotarłem właśnie w to miejsce, gdzie się te trzy jeziora łączą. A tam harcerze, ognisko, jakiś gitarzysta i śpiewają piosenkę pod tytułem „Przedszkolak” Więc ja się przyłączyłem i mówię: „A wy wiecie, kto tę piosenkę napisał?” Mówią: „Nie wiemy. Tu jedni innych uczą” Więc gdzieś te teksty krążą, ciągle gdzieś się je słyszy, ktoś gdzieś je gra.

## 11. W chórze i w chórkach

Jakoś musiałem to godzić. Irek strasznie mnie tępił z tym chórem, ale to też było inne życie. Z Lożą jeździło się na obozy kondycyjne, szkoleniowe w góry. Wieczorem mieliśmy próby, gdzieś w podziemiach. A rano graliśmy w siatkówkę, łaziliśmy po górach, kąpaliśmy się. Z chórem też się jeździło. Nawet do Bułgarii. Potem mieliśmy tournée z chórem po Francji, gdzie poznałem dużo ludzi, z którymi jeszcze do tej pory kontakt utrzymuję. Pamiętam chór z Paryża, takich amatorów –spawacze, lekarze, adwokaci i najprzeróżniejsze towarzystwo, których po prostu połączyła chęć śpiewania i jakiegoś wyżycia się w tym temacie. I ten chór poprzez jakieś kontakty był powiązany z naszym chórem Akademii Medycznej. Myśmy ich zaprosili na tournée do Polski. Objechali wszystko, co można było im pokazać. Od Białowieży, po Zakopane, morze i Warszawę. A potem oni nas zaprosili do Francji i też po całej Francji nas obwieźli. Mieszkaliśmy po polskich rodzinach, było fajnie. Oni tak wszystko chłonęli, to były te lata, czarna jeszcze komuna, osiemdziesiąty rok, kiedy po prostu nic nie wiedzieli co się w tej Polsce dzieje. Mieliśmy oczywiście pana przydzielonego z UB, który udawał opiekuna z uczelni. Jak nam ksiądz po mszy w kościele polskim w Paryżu wydał broszury o powstaniu warszawskim, o Katyniu, to dopiero wieczorem nam zrobił, jak to się mówi, lotnika w tej wspólnej sali wieloosobowej, gdzie mieszkaliśmy, bo to było takie schronisko młodzieżowe. Ujawnił się, kto on jest,

skonfiskował nam te papiery. Ale myśmy zdążyli już poczytać. To był szok, bo czego innego nas uczono na historii oficjalnie, a o czym innym żeśmy się dowiedzieli z tych ulotek na powielaczu zrobionych. Ksiądz znał swoje owieczki w kościele polskim w Paryżu, bo to zawsze te same twarze. Po mszy w drzwiach ze wszystkimi się żegna i po parę słów [mówi], a nas zatrzymał, wszystkich na bok i: „Chodźcie, chodźcie na zakrystię” Porozdawał nam te ulotki, a ten pan Jasio „długie ucho” tak go nazywali, nam to wszystko skonfiskował. Takie były czasy. Potem jeździłem do Francji na zaproszenie tych poszczególnych rodzin, oni do nas przyjeżdżali i jeszcze jakieś kartki się [wysyłało]. Tak że ta przyjaźń trwała długi czas. Część tych ludzi się mocno już zestarzała, tak samo jak i ja, niektórzy przecież byli w wieku moich rodziców.

[W Łoży] główną solistką była Lucyna Mijał. Gienio Maksymiuk śpiewał trochę. On też grał na gitarze. Lucyna była nauczycielem muzyki w szkole, ma wykształcenie muzyczne i potrafi śpiewać na profesjonalnym poziomie. Ona wcześniej [śpiewała] w jakimś chórze i ten drugi zespół czy ten chór był na takim mityngu kulturalnym studenckim. Szymański w ten sposób ją skaptował, że po prostu usłyszał, jak ona śpiewa i powiedział, że skoro jest z Lublina, to musi do nas przyjść. Był jeszcze Andrzej Broniś i kilka dziewczyn, które grały na skrzypcach. Był jeden chłopak, który grał na skrzypcach, kolega farmaceuta Janusz Giering. A Mirek Melaniuk grał na organach. Marek Szellenberg też początkowo grał na gitarze, zanim odszedł. Szymański sam grał, trochę ja grałem, w zależności od tego, jakie były potrzeby.

Te pierwsze trzy spektakle, to byłem widzem na sali. Natomiast koledzy byli słynni. Jak oni przechodzili, czy na jakichś zajęciach żeśmy się mijali, to ludzie się rozstępowali. Wiesiek Mikusz, Leszek Błazucki, to byli wielcy artyści. To my, co tam my do nich. Przez rok obsługiwaliśmy szatnie, wydawaliśmy numerki. Janusz Tarkowski był takim pierwszym menagerem zespołu, on bardzo chciał występować, ale ani nie miał głosu, ani pamięci, ani dykcji. Za to miał głowę taką, zmysł do interesu, do biznesu. To on załatwiał te koncerty, załatwiał lokale, załatwiał drukowanie plakatów w drukarni, rozklejanie. Najmował po parę groszy studentów z akademika, żeby sobie dorobili, żeby jeździli, obklejali wszystkie słupy tymi plakatami. Bilety na [przedstawienia] Łoży też coś tam kosztowały. Nie pamiętam, na co szły te pieniądze. Pewnie na zakup jakichś dekoracji, sprzętu i tak dalej. Akademia od czasu do czasu jakimś groszem sypnęła, ale to też musieliśmy sobie zorganizować. Jeśli nawet była jakaś nagroda pieniężna na festiwalu to za to się kupowało kiełbasę zwyczajną, chleb oraz co tam można było nabyć z jakichś alkoholi, żeby świętować zwycięstwo.

## 12. Występy w Lublinie

Na Chodźki, piętro niżej był klub „Medyk” Tam, pod spodem ćwiczył „Bajm” więc przychodzili ciągle, a to po lutownicę, a tam po coś, tak że byliśmy z nimi zaprzyjaźnieni. I oni tam w jakiejś kanciapie mieli ten sprzęt rozłożony. Występy były

w takiej sali w Studium Wojskowym Akademii Medycznej. To było tam, gdzie się mieścił potem LDK tutaj na ulicy Hempla. Teraz jest odnowiony. Tam mieliśmy ćwiczenia wojskowe, tam były wykłady. I była też duża sala widowiskowa, była scena z kurtynami, zaplecze i takie jakieś kulisy. Na tej sali mieściło się sto, może sto pięćdziesiąt osób. Tych widzów na zwykłych krzesłach, na których w ciągu dnia były zajęcia dla żołnierzy, bo wiadomo, że medycy musieli przez całe sześć lat jeden dzień w tygodniu chodzić w mundurze. Musieliśmy mieć zawsze ogolone głowy, po tym nas rozpoznawano, bo musieliśmy być tymi żołnierzami. Potem po studiach był obowiązkowy dwumiesięczny obóz wojskowy. My byliśmy akurat w Węgorzewie, ale koledzy byli też w innych miejscach Polski. Potem otrzymywaliśmy patent oficerski podporucznika rezerwy. I w każdej chwili na front, gdyby była wojna. I tak mieli wszyscy lekarze, chyba że ktoś dostał kategorię C, czy D ze względu na stan zdrowia. Mnie jeszcze po studiach przez parę lat ciągnano na różne poligony, tak co dwa, trzy lata przychodziła taka „trójka klasowa” do drzwi. Trzeba było się pakować i iść na plac zbiórki. Pobierać z magazynu broń, mundur, który tam miałem, jak to się mówi, zgromadzony w szpitalu wojskowym. I wyjeżdżaliśmy na manewry. Jedne prowadził generał [Wojciech] Jaruzelski, drugie [Włodzimierz] Oliwa. Kiedyś na przykład było jedenaście tysięcy [żołnierzy] rezerwy powołanych z całej Polski. To była cała armia! To były czołgi, strzelanina, pozorowanie wybuchu bomb atomowych. Rozbijaliśmy pełnoprofilowy szpital polowy. Trochę się dziwiłem, ponieważ zrobiono mnie ordynatorem oddziału rannych w klatkę piersiową. Na zasadzie, że kompletnie się na tym nie znam, więc chętnie się tym zajmę. Zgodziłem się, chociaż jestem urologiem, ale takiego oddziału nie mieli. A jak się potem dowiedzieli, to zrobiono mnie ordynatorem oddziału przyjęć i segregacji. Tak że poligony były wesołe, bo był luz. Oficerów to już tak bardzo się nie czepiano. Mieliśmy naprawdę luz. Było trochę wykładów. Pierwszy wykład był w namiocie, na krzesłach ze stolikami. Drugi już był na płaszcach pałatkach na słońcu, trzeci rozebrani do pasa, czwarty to już każdy tylko w spodenkach gimnastycznych, bo to było gdzieś w lesie, nikt tego wojska przecież nie widział. W sumie to szkolenie było fajne, wiadomo, takie oderwanie od rodzin na te trzy tygodnie. Zwykle nie bardzo było się, gdzie tam ruszyć. Wkoło po prostu dzicz i głusza w środku lasu, ale mile to wspominam mimo wszystko, bo to była jakaś atrakcja. Jeden poligon był zaraz po wybuchu w Czarnobylu. Pojechaliśmy w województwo gorzowskie też w jakieś lasy. Byliśmy tam rozbici, zakwaterowani. Ja byłem tak zwanym lekarzem pułkowym, czy coś takiego. Zwracano się do mnie z prawdziwymi problemami medycznymi. I miałem dwie czy trzy skrzynie leków, w których było także sześć litrów czystego spirytusu, którego musiałem bardzo pilnować. Spałem z kluczami na szyi. Na brzuchu najczęściej, bo próbowano mi nawet przeciąć ten sznurek. Takie były czasy. I wtedy, pamiętam, na te tereny, na te lasy był duży opad pyłu radioaktywnego. Tak że jak jechaliśmy po zaopatrzenie, to każdą główkę kapusty, każdy worek ziemniaków i tak dalej sprawdzaliśmy licznikiem Geigera-Müllera, co my w ogóle przywozimy, czy nie przywozimy promieniotwórczych

substancji. A jak się okazało potem, kiedy już obozowisko kontrolowałem z tym licznikiem, to największe promieniowanie było tam, gdzie rozbiliśmy namiot na stołówkę. Tak że musieliśmy to przenosić, bo opad był takimi jakby plackami. Były miejsca, że nie było żadnego promieniowania, to tam stawialiśmy te namioty mieszkalne i były miejsca takie, że było normalnie do końca skali. Nas w tym czasie wzięto takie manewry międzynarodowe, wiem, że byli też Czesi, Węgrzy, Niemcy z NDR.

### 13. Działalność Łoży 44 w czasie stanu wojennego

W ogóle to było tak, że kolegów stan wojenny chyba zastał w studio. W Krakowie na Krzemionkach, tam było studio telewizyjne. Opowiadał Szymański, że oni tam kręcili jakieś kawałki do „Spotkania z Balladą”czy w ogóle kręcili „Spotkanie z Balladą”i po prostu weszli zomowcy, czy żołnierze. weszli z bronią do studia i kazali im się zwijać. Ich wywieźli na pociąg do Lublina, który jechał prawie pusty, nie zatrzymywał się nigdzie w tę noc stanu wojennego. I potem było tak, że to wszystko było zawieszane. Była już skręcona „Ballada”już nie pamiętam, chyba medyczna [„Medyczne Spotkania z Balladą”. Nagrane były te wszystkie playbacki, w których też brałem udział z tą mandoliną, skrzypcami, gitarą. Nagrywaliśmy to na wielośladowe magnetofony, żeby była jak największa orkiestra, a nie tylko trzy instrumenty czy cztery. Ja już w tym nie brałem udziału jako artysta. Wtedy byłem tylko chyba w tym „Rozpuszczalniku”w Krakowie –do tej pory przechowuję ten rachunek, gażę z telewizji. Gdzieś go tam mam jako zakładkę do książki. Czterysta osiemdziesiąt złotych, chyba, nie pamiętam. To były duże pieniądze, chyba jak miesięczna pensja. Tak to wyglądało wtedy. I już była taka odwilż, już ten stan wojenny się kończył, zaczęły się pokazywać jakieś programy. Ci wszyscy artyści, którzy zeszli do podziemia, powoli zaczynali się tam gdzieś pokazywać w jakichś spektaklach tu i tam. Bo na początku cały świat artystyczny olał to wszystko. wszyscy zeszli do podziemia, bojkutowali stan wojenny, nie występowali w telewizji. Tu u nas też była cisza, nie było występów. i jakoś tak wtedy, jeszcze w stanie wojennym z Krakowa dzwonił do Szymańskiego reżyser pan Zajączkowski, że jest wszystko zrobione, skręcone i tak dalej, tylko miał być jeszcze dograny ten występ z publicznością. Pojechali wtedy na tę dokrętkę, ale bano się wpuścić studentów na salę, żeby po prostu nie doszło do jakichś ekscesów i rozrób. Więc na tej sali były same rodziny wojskowych i milicjantów. Panie poubierane, panowie garnitury z naftaliny powyciągali, pozdejmowali mundury i to towarzystwo siedziało na sali. Tu program satyryczny, a towarzystwo się w ogóle nie śmieje. jeden na drugiego patrzy, który się pierwszy zaśmieje. Zajączkowski mówi: „Proszę państwa, to jest program satyryczny. tutaj się trzeba śmiać, tu trzeba bić brawo. Może umówmy się tak, że ja będę tu stał za kamerą, jak podniosę jedną rękę do góry, to się śmiejemy, jak dwie to się śmiejemy i bijemy brawo” I w ten sposób ten program został nakręcony.

## 14. Bohaterowie drugiego planu

Był taki szef radia lubelskiego Weroniczak, chyba miał Janusz na imię. Tak mi się wydaje. Potem poszedł do Białegostoku, gdzie był szefem radia przez lat wiele. I on [zapraszał] Lożę do „Co jest grane” tak się nazywały te programy, gdzie były i piosenki i różne teksty, słuchaliśmy tego jako studenci. To szło chyba na trzecim programie radia, jeszcze UKF-u wtedy nie było. I te nagrania się zachowały, Krzysiek Bilkiewicz ma to wszystko, znaczy Kuba –ja właściwie sam nie wiem, bo myśmy mówili na niego Krzysiek, a koledzy z pracy mówią na niego Kuba. Krzysiu się zajmował u nas całą tą elektryką. Staszek Kolęda, radiowiec, zajmował się całą akustyką. Siedział przy tych konsolach u mikrofonu, puszczał różne tam playbacki. Stasio Kolęda w Warszawie chyba w jakimś radio jest, mieliśmy z nim kontakt. Dalej jest radiowcem, czy się w tych strefach obraca, a wtedy prowadził radio studenckie. Chyba nazywało się „Centrum” nie pamiętam. Było takie studenckie radio. To on był tam radiowcem, zajmował się całą akustyką. A Krzysiek całym prądem, tym wszystkim światłami, bo Krzysio jest inżynier elektryk. i w jego rękach skupiają się wszystkie nici wszystkich członków Loży, wszystkie wątki. A przyszedł do Loży jeszcze później, po mnie chyba. Natomiast ja przyszedłem, myślę, że to był trzeci albo czwarty rok moich studiów. Chyba na czwartym roku, bo to był taki luźny rok. Na medycynie zawsze czwarty rok był taki. Było mało egzaminów, mało wykładów, mało ćwiczeń. był luz. Czwarty rok to było takie obijanie się. Było dużo czasu po prostu, a te próby to jednak trochę zajmowały. Mieszkałem na miasteczku uniwersyteckim, z miasteczka na Chodźki jeździł chyba autobus 28. To taki był studencki autobus, że sami młodzi ludzie tylko tam byli. I potem po nocy trzeba było jakoś wracać. Czasami próby tak się przedłużały, że już nie było czym wrócić. Na taksówki nas nie było stać. I te parę kilometrów trzeba było w nocy iść na piechotę. No to szła nas taka grupka i po kolei się tam oddzielali, oddzielali. Nas dwóch czy trzech docierało na to miasteczko akademickie.

## 15. Chór Akademii Medycznej

Próby chóru [Akademii Medycznej] też były w różnych miejscach, ale często były tutaj na wydziale muzycznym UMCS na Narutowicza. Odbywały się też i po domach prywatnych, bo śpiewaliśmy na głosy. Nie pamiętam, gdzie jeszcze te próby chóru były czy była jakaś sala. Czasem gdzieś przy kościołach w jakichś salkach [ćwiczyliśmy], bo śpiewaliśmy dużo w kościołach. i oczywiście wszystkie te dęte akademie, które chór musiał uświetniać. Co jakiś czas szyto nam nowe stroje. Z niektórych wyrastaliśmy, ale zwykle chórzysta odchodzący przekazywał swój strój następnemu chórzystcie. Oczywiście uprany i uprasowany. Takie były czasy, że nic nie było. Bieda była. Stroje szyła „Gracja” kiedyś taka słynna spółdzielnia krawiecka.

Zajmowała cały ten budynek vis-à-vis dawnych Delikatesów i dawnego banku Bogatina. Tu, gdzie jest Sąd Rejonowy, dalej przystanek MPK i taki duży budynek na Krakowskim Przedmieściu przy skrzyżowaniu z Chopina. To tam była spółdzielnia krawiecka „Gracja” która szyla [dla nas] i obszywała też wszystkie panie. To był szczyt mody. w sklepie nic nie można było kupić. Jak człowiek kupił sobie jakiś materiał, udało mu się gdzieś jakiś tam wystać w kolejce, to trzeba było jeszcze znaleźć kogoś, kto modnie coś uszyje, trzeba było mieć wejścia, a „Gracja” była znana w Lublinie.

## 16. Studia na Akademii Medycznej

Potem pracowałem z niektórymi swoimi wykładowcami. W pogotowiu dyżurowałem z panią docent Lize, która była postrachem na anatomii prawidłowej. Pamiętam profesora Stelmasiaka, pana docenta, potem profesora Urbanowicza, który też chyba był we władzach uczelni. z tamtych czasów jeszcze profesor Załuska, profesor Staszic, chyba nieżyjący.

Bardzo baliśmy się pediatrii, szczególnie nie mieliśmy głowy do tych wszystkich przepisów odnośnie karmienia niemowląt. Teraz po prostu kupuje się odżywkę dla dziecka, jakieś mleko gotowe, a dawniej to trzeba było [odmierzać] ileś gramów kaszy takiej, ileś takiej, tyle mleka i tak dalej. Tego nie można było w żaden sposób zapamiętać. i biochemia, wszystkie te odwzorowania graficzne pierścieni benzenowych takich czy owakich trzeba było się uczyć tych wszystkim aminokwasów na pamięć, rysować je. A to były takie łańcuchy na całą stronę. Inne przedmioty jakoś tam szły. Nawet anatomia. Ale też nas tak mordowano, tak dręczono tą anatomią, tymi najdrobniejszymi szczegółami, gdzie jeden tak zwany preparat, czyli na przykład głowę, przez dwa czy trzy miesiące wszystko po kolei się omawiało, ale to zostało, ta anatomia jest potrzebna nam chirurgom do tej pory. Ja nie muszę sięgać do żadnych atlasów, ja pamiętam to jeszcze ze studiów, bo tak nas dręczono, tak nas wałkowano, tak od nas wymagano, ale to był szok, te dwieście, trzysta stron, których przez noc trzeba było się nauczyć dosłownie na pamięć na ćwiczenia na następny dzień. Mówili, że na Akademii trzeba kuć. Rzeczywiście trzeba było, trzeba było kuć. Ale to wszystko się przydaje. Na przykład wiadomości z farmakologii na zasadzie działania leków z poszczególnych grup. Zmieniają się nazwy tych preparatów, wchodzi jakieś modyfikacje i tak dalej. Ale nie te główne podstawy, które [wykładał] profesor Gryglewski z Krakowa w swoich podręcznikach, skryptach. Bo też nie było wtedy takich porządnych książek w tym czasie, jak myśmy studiowali. Uczyliśmy się anatomii z tych słynnych bochenków. Każdy musiał mieć kości skrzynkę w domu, czaszkę i tak dalej, żeby się tam wszystkich tych różnych bruzd, otworków, różnych dziurek uczyć na pamięć. To trzeba było mieć to w głowie. Te czaszki się potem sprzedawało kolegom z młodszych lat i tak po prostu krążyły te szkielety między studentami. Teraz prawdopodobnie jest tak samo, chociaż przy obecnej technice i

drukarkach 3D można po prostu taką czaszkę skopiować, zrobić z plastiku. Moja mama i siostra moja też są po medycynie. szwagier po medycynie. żona jest lekarzem stomatologiem. Wuj był kardiologiem. A w następnym pokoleniu nie ma żadnego lekarza. Nikt nie chce. Młodzi popatrzyli, jak my ciężko pracujemy na tych dyżurach, nigdy nas w domu nie ma, że jeszcze po południu ileś tam tych prac mamy, żeby jakiś poziom życia utrzymać, bo niestety w szpitalach płacą bardzo marnie. po trzydziestu siedmiu latach pracy zarabiamy poniżej średniej krajowej. Po prostu, niestety te wszystkie prace dodatkowe zabierają nam życie, zabierają nam czas.

## 17. Różne oblicza cenzury

Pamiętam taką sytuację. Byliśmy na „Turnieju o Złotą Szpilkę” tak się to nazywało. Organizował to Edmund Filer taki redaktor od kultury z dawnej telewizji. Był tam jurorem głównym. i zajęliśmy tam chyba drugie miejsce po kabarecie „Gwóźdź” [Krzysztofa] Daukszewicza. Kronika Filmowa postanowiła nas sfilmować do swojego [reportażu], taki urywek kulturalny z festiwalu kabaretów. Tego [typu imprez] było mało, jeden czy dwa w roku. Były „Złote Rogi Kozicy” ta „Złota Szpilka” i to było wszystko praktycznie. I była piosenka kabaretowa w Teatrze Starym, nie –w „Grotescie” w Krakowie. I nie było więcej festiwali kabaretów. Zaproszono nas następnego dnia na nagranie do Kroniki Filmowej. Wiadomo, jak żeśmy wygrali tę nagrodę to trzeba było ją spieniężyć, więc kupiliśmy jakichś tam wiktuałów i była wesoła zabawa w hotelu, ale nie za dużo alkoholu, bo rano mieliśmy iść [na nagranie]. I ja zatrąłem się czymś potwornie, ale musiałem w takim stanie iść przed kamery, wystąpić. Nakręcono jakiś urywek naszego występu. Trochęśmy tam polecili politycznie i pani z tej Kroniki Filmowej powiedziała: „Nie, to nie pójdzie. To pójdzie, ale na półkę. Zobaczycie” I rzeczywiście to zginęło gdzieś tam, przepadło, a myśmy kroniki wszystkie skrzętnie oglądali. Minęło kilka lat, zaczęła się ta odwilż. wyświetlano w [kinie] „Kosmos” „Dzień Apokalipsy” Poszliśmy razem z ojcem na ten film. Kobiety nie chciały, bo to strzelanina, Wietnam, Kambodża i tak dalej. Film ciężki, długi. A na początku właśnie w dodatku kulturalnym, tak jakby to było wczoraj –Festiwal Kabaretów w Lidzbarku Warmińskim. i zobaczyłem siebie zielonego, więc to po kilku latach dopiero trafiło do kin. Do Polskiej Kroniki Filmowej. Tak że tam gdzieś jesteśmy, gdzieś jest Loża w Polskiej Kronice Filmowej. wtedy wszystkie kabarety powoli zaczynały się śmiać z pryncypiów, drwić. Jaką Pietrzak na tym karierę zrobił, Kryszak. I po kolei inni. wyśmiewano się z tej głupiej socjalistycznej rzeczywistości. Z tych głupot po prostu. Tak samo i Loża. Tylko, że tutaj to nie było podane wprost, trzeba było się domyślić z kontekstu. Irek tak właśnie potrafił pisać. Myśmy się śmiali, bo dobrze wiedzieliśmy o co chodzi. Patrzyliśmy, czy publika to chwytła. Czasem nie chwytła cenzor. Chociaż cenzorzy to byli ludzie rzeczywiście wykształceni i tacy naprawdę, tam byle kogo nie brano. Jakichś, za przeproszeniem,

tłumoków. To byli ludzie, którzy się orientowali, którzy potrafili też z tego tekstu wyłować jakieś niuanse, wycieczki polityczne. Wiadomo było, co można skreślić, co można wyciąć. A jak wyciąć, to trzeba coś do rymu ułożyć, żeby całe zdanie miało jakiś sens. To też był problem, jak jakieś słowo albo zdanie zastąpić czymś, żeby dalej to miało podobny wydźwięk, ale żeby już nie drażniło cenzora. To też była sztuka.

## 18. Kariera zawodowa

Trzeba było ruszyć w kraj. W Lublinie wtedy nie można było się niczego nauczyć. Więc człowiek spędzał czas poza domem na najprzeróżniejszych stażach. Gdańsk, Szczecin, Warszawa, Łódź, Tuszynek i gdzie tam jeszcze, żeby czegoś się nauczyć. I poza tym pokazać się tym wszystkim profesorom w całej Polsce, którzy potem zasiadali w komisji egzaminacyjnej. Bo wtedy egzaminy były ustne, nie tak, jak teraz, jakieś bezosobowe testy. Jest niby na koniec taki egzamin przed gronem dwóch, czy trzech profesorów, ale wtedy cały egzamin był ustny. Był też egzamin praktyczny, trzeba było wykonać operację, ale oprócz tego trzeba było się pokazać u wszystkich profesorów. I to na własny koszt. Trzeba było mieszkać, żyć, utrzymać się, dojechać. Nikt tego nie sponsorował. Owszem, były takie kursy obowiązkowe, typu „Postępy w urologii” gdzie byliśmy skoszarowani przez tydzień. To się odbywało w szpitalu praskim. I te kursy były sponsorowane, jak to się mówi, przez państwo. Ale żeby się dostać na taki kurs, to się czekało kilka lat. Więc te specjalizacje też trwały długo, bo na przykład komuś brakowało jednego takiego kursu. Nie zaliczone, nie można było przystąpić do egzaminu. A dostać się było nie sposób, bo była ograniczona ilość miejsc, przyjmowano pięciu czy ośmiu na taki kurs, a chętnych było znacznie, znacznie więcej.

## 19. Chór dłużej wytrzymał

I przez to, że człowiek się już wpuścił w te różne tematy [pracy] popołudniowej było mniej czasu na [działania] artystyczne. Niemniej jednak dwie gitary w domu są, dwa wzmacniacze w domu są. Tak że na wszystkich rejsach, wyjazdach, na te Mazury, nie Mazury, grillach, ogniskach, zawsze gramy, śpiewamy. I nie zapomina się po prostu tego, co się człowiek kiedyś już raz nauczył. Repertuar ciągle jest ten sam, stały. Chyba chór dłużej wytrzymał. Zreaktywował się rok czy dwa lata temu. Ci wszyscy ludzie, którzy śpiewali za naszych czasów znów się skrzyknęli, łącznie z dyrygentką, która ma osiemdziesiąt parę lat, ale jest bardzo żywotna. Pani Ewa Ordyk teraz zdaje się jeszcze inaczej się nazywa po mężu. Ćwiczone po domach, poszczególne głosy ćwiczyły po mieszkaniach. W okolicy świąt były kolędy. Potem było kilka występów w kościołach. Również w Nałęczowie w pałacu Małachowskiego, co sfilmowałem kamerą i mam teraz wszystkich naszych kolegów, już jako takich



sześćdziesięciolatków. A wszyscy w dobrym, jak to się mówi, stanie i wiekowym i zdrowotnym. Tak że ludzie się tam prawie nie pozmieniali, prawie każdego w tym chórze poznaję. Kilka lat temu dostałem SMS-a –hór zorganizował imprezę działkową, grillową, na daczce u kolegi, tutaj w lasach kozłowieckich. był cały chór, były dwie gitary, cały repertuar przećwiczyliśmy jaki tam był. Z chórem jeździliśmy do Bułgarii, po tych krajach socjalistycznych, tak zwanych demoludach. Najbardziej wspominam występ na Węgrzech, nie pamiętam, chyba w Szolnok, gdzie są takie jaskinie jak nasza jaskinia Raj. Węgrzy mają też taki zespół jaskiń, które się zwiedza. Wchodzi się jakby po takich galeriach coraz wyżej, coraz wyżej w głąb góry. Te jaskinie się ciągną pod górę. I w tych jaskiniach śpiewaliśmy Bacha, niesamowity pogłos. To żaden kościół, żadna sala koncertowa tego nie dawała. Te wszystkie stalagmity, po prostu drżały, wibrowały. To było ogromne przeżycie dla nas i dla tych zwiedzających, którzy stanęli z otwartymi ustami i brawa, brawa. Nie dali nam przerwać, a repertuar mieliśmy pokaźny, bo i [piosenki] ludowe, i jakieś msze, i Brahmsa, i Bacha. Tam setki ludzi były. To było takie przeżycie! We Francji koncertowaliśmy też w kościołach dla Polonii francuskiej. Ludzie po prostu płakali. A śpiewaliśmy takie różne ludowe rzeczy i gdzieś widocznie z ich lat młodości jakiejś nuty się przewijały, tematy jakieś, że ci ludzie płakali. dosłownie nas całowali po rękach po koncercie. Zawsze były jakieś przyjęcia u miejscowych notabli. oczywiście mieszkaliśmy po tych rodzinach polskich albo u studentów w jakichś akademikach, czy na ich stancjach. Tak że poznaliśmy takie życie po prostu studenterii w Paryżu. Stołowaliśmy się na Sorbonie w stołówce studenckiej. Wtedy pierwszy raz widziałem te takie jogurciki słodkie w jednorazowych [opakowaniach]. Tego w Polsce w ogóle nie było. W ogóle nie było takich rzeczy. Bagietka! We Francji pierwszy raz coś takiego zobaczyłem. U nas tylko była bułka paryska. Gnieciuch taki. To był gdzieś tak [19]80 rok, wczesne lata 80-te. to był szok wielki. Wyjechaliśmy na Zachód z tej szarzyzny socjalistycznej, z tej biedy. To były te czasy, że już się stan wojenny szykował, w następnym roku już go ogłoszono.

## 20. A jak do „Łoży” dołączyli Wijatkowski i Rogalski, Michalec

Irek pisząc teksty wykorzystywał trochę predyspozycje [aktorów] i zachowania, które były dla nich naturalne, które już same śmieszyły publiczność. Zawsze było tak, że było dwóch mądrych i ten jeden głupi, który nigdy nic nie wiedział i któremu zawsze tłumaczyli. I po kolei się zmieniali, ktoś inny był tym głupim. Był Wijatkowski, potem był Rogalski. Piotrek Wójcik z Michalcem, oni byli zawsze ci mądrzejsi, zawsze pouczali, a ten jeden nigdy nic nie wiedział. taki był schemat, to było śmieszne. i jak w „Spotkaniach z Balladą” oni wchodziłi [na scenę], to brawa się zrywały, a jeszcze nie zdążyli nic powiedzieć. Tylko wszyscy pytali, czy ci wędrowcy będą, czy ich nie będzie w danym programie. ja już wtedy byłem poza kabaretem. Bo już było dwóch synów, moja specjalizacja, żony specjalizacja. Dziadkowie nie mieli czasu się nimi

zajmować, to przedszkola, żłobki i tak dalej. Po prostu już wtedy człowiek w ten taki inny wir, w inny zakres różnych obowiązków wpadł. Było coraz mniej czasu na jakąś rozrywkę, na jakieś działanie społeczne, czy kulturalne. To jest taka naturalna rzecz. Ale Irek też przecież miał córkę, dyżurował przecież. tak samo gdzieś tam dorabiał po jakichś gabinetach i tak dalej. I że miał czas to wszystko pisać i z nami ćwiczyć na tych próbach, reżyserować i wszystkiego pilnować, nad wszystkim mieć pieczę. to ogromny wysiłek, przecież. I taki intelektualny, i fizyczny. Jest, poza tym, świetnym lekarzem, świetnym operatorem. pracowałem z nim wielokrotnie, stawaliśmy razem do wspólnych operacji. jest artystą w pisaniu, w komponowaniu, bo tak samo przecież to on układał melodie. Nie tylko układał teksty, ale już przychodził z gotową piosenką, którą grał na gitarze. Melaniuk podgrywał, zapisywał to w nutach, robiliśmy jakieś aranżacje i jakoś to szło. To było trudne, nawet ktoś, kto jest muzykiem, jeśli rozpatrzyłby tę partyturę, to zobaczyłby, że to nie jest taka muzyczka łatwa dla ucha. I jest trudna do grania, nawet ostatnio na tym naszym spotkaniu na Starym Mieście, próbowaliśmy niektóre rzeczy grać na gitarze i nam nie szło, było gitarzystów kilku, nikt nie potrafił zagrać. Irek już nie pamiętał tych akordów. Ale naprawdę niektóre te utwory było ciężko [zaśpiewać]. Mówili czasami, że to, że była taka sieczka, bardzo dużo słów w krótkim czasie trzeba było wypowiedzieć. i te słowa musiały być wyraźnie wypowiedziane, żeby to dotarło do publiki, bo to nie melodia, tylko w tekst się trzeba było wsłuchiwać.

## 21. Kabaretowe obozy kondycyjne

[Pomysł] był chyba samego Tarkowskiego, naszego menagera. i Irka. Uczelnia dawała trochę kasy, a resztę myśmy dokładali. Ale, wiadomo, jechało się na obóz kondycyjny, więc ciągnęliśmy ze sobą wzmacniacze, jakieś mikrofony, taki podstawowy sprzęt, żeby być z tym oswojonym na co dzień. Nie można tego było dać do wagonu towarowego, bo to był bardzo cenny sprzęt. To były jeszcze lampowe wzmacniacze, więc wstrząsy czy drgania mogły to wszystko zrujnować. Popękałyby jakieś tam spiralki w tych lampach i po prostu to wszystko byłoby na szmelc, do wyrzucenia. to musiało jechać w komfortowych warunkach. Więc kiedyś jedziemy do Katowic chyba i mamy zawalony cały przedział. kolumny głośnikowe leżą na półkach, pod nogami stoją wzmacniacze. Wchodzi jakiś tam super rewizor kolejowy czy jakiś tam inny, nabrał powietrza –myślimy, że awantura, zaraz pociąg zatrzymają w szczerym polu, nas z tym wszystkim majdanem wysadzą, bo to dwa albo trzy przedziały były zajęte, zawalone tym sprzętem. Ale Irek mówi: „Niech się nikt nie odzywa, tylko ja będę rozmawiał i ja wam pokażę, jak się rozmawia z osobą urzędową” I za chwilę ten prowadzi jakiegoś jeszcze wyższego kontrolera jakiegoś takiego super rewizora kolejowego czy kogoś. I wpadają do przedziału. A wiadomo, że jak ktoś na kogoś zaczyna krzyczeć, to ten drugi też się zaczyna bronić, że to nieprawda: „Panie władzo, wcale nie jechałem tyle na godzinę” – „Źle pan widział”

–„Macie zepsuty sprzęt” I tak dalej. A on nie. On potakuje facetowi cały czas. Ten krzyczy, a on mówi: „Ma pan rację” „Nie wolno takiego sprzętu przewozić w przedziałach tam, gdzie ludzie jeżdżą” I ten znowu: „Ma pan rację” facet po prostu żadnych argumentów nie miał. machnął ręką, mówi: „A jedźcie” Tak że z osobą urzędową tak trzeba rozmawiać, że nie można się nic sprzeciwić. Trzeba jej od razu przyznawać rację, chociaż jej nie ma: „Ma pan absolutnie rację. Tak jest, tak jest. Przepisy zabraniają. My wiemy, tak, tak. Tak” A mieliśmy przeróżne sytuacje

## 22. Anegdoty

Wiadomo, jak jechaliśmy autokarem na występy to z tyłu się rozkładała orkiestra. Akordeon, gitara, jakieś skrzypce, jakaś fujarka czy co tam było. i graliśmy nie tylko lożowe piosenki, tylko po prostu takie ogólnie turystyczne. I to Szymańskiego wkurzało zawsze, on nie lubił takich rzeczy. ale jak stawaliśmy gdzieś tam, a nie było wtedy stacji benzynowych ani toalet, tylko po prostu wycieczka się zatrzymywała przy lesie i panowie na prawo, panie na lewo, to cała orkiestra szła za Szymańskim i nie dała mu nigdzie się zatrzymać przy żadnym drzewie, bo graliśmy cały czas jakieś ludowe takie piosenki. bez przerwy były jakieś wygłupy.

Było zawsze tych trzech najważniejszych artystów, którzy ciągnęli cały program. A my –hórzyści i ci, co w jakichś epizodach występowali, to już był taki dodatek. Tamci byli najważniejsi i zawsze z ich zdaniem, z ich słowem musieliśmy się liczyć. Oni nawet próbowali wprowadzać jakieś poprawki do tekstu, tak zwane, jak się mówiło, wice-dowcipy, jakieś takie rzeczy, które się same w międzyczasie nasuwały. Na przykład była taka sytuacja chyba w „Memento Mori Blues” że w takim jakimś strasznym hotelu dwóch facetów na jednym łóżku śpi takim jakimś połamanym, w takich piżamach ze szlafmycami. Wchodzą duchy i odstawiają różne sceny. I [jeden z nich] wyciąga spod łóżka nocnik, taki normalny, emaliowany starej daty, staje tyłem do publiki w tych kałesonach i słycać dźwięk lecącej wody, którą ja tam gdzieś nagrałem i puszczam z magnetofonu. I on gadając wylewa ten nocnik na publikę. A tam były perfumy kupowane w najbliższym kiosku „Ruchu” Te wszystkie „Czar Lenina”, „Przemysławka” i inne, ponad dziesięć różnych gatunków zmieszanych. Co tam kto przyniósł z domu, co miał niepotrzebne. Na każdy spektakl wszyscy nalewali do tego nocnika, każdy przynosił jakieś perfumy takie niepotrzebne z domu, które czy w jakimś prezencie, czy tam gdzieś dostał. nie było porządnych perfum wtedy, tylko jakieś krajowej produkcji albo rosyjskie. On to wylewał, a te pierwsze rzędy publiczności kładły się na podłogę, [żeby uniknąć obłania]. my za sceną myśleliśmy, że zdechniemy [ze śmiechu], jak na to patrzyliśmy. Też tak bywało, że czasami jakiś pistolet [na korki] nie wystrzelił i trzeba było tupnąć nogą w podłogę albo walnąć jakimś ciężkim przedmiotem. Bo raz, drugi ciągnie za cyngiel, a tu nie wypalił ten korkowiec. Jak się ktoś pomylił czy zapomniał, to mu tam dopowiadano z tyłu zza kulis.

### 23. Kabaret był dobrą rozrywką

Wielokrotnie na tych różnych festiwalach jury nie bardzo wiedziało, jak nas zaszufadkować. Czy to jest teatr czy to jest kabaret. Kabaret to była taka zabawa, ale wtedy po prostu nie było żadnej takiej rozrywki. Można było pójść na teatr Mądzika. I w sumie więcej nic. Szczepanik śpiewał gdzieś tam w „Czarciej Łapie” z gitarą, to były takie czasy. Gdzie ten student miał się ukulturalniać? Piwa się nie mógł napić, bo tego piwa nie było jak zdobyć. To był tak reglamentowany towar, że jak ktoś już miał parę butelek piwa, to imprezę zaraz urządzał. Zapraszał wszystkich, że się mu gdzieś udało to piwo kupić, załatwić. Pamiętam, był jeden występ [w klubie Pod Strzechą]. Ale tam też byłem tylko widzem, bo tam grali chyba aktorzy. To było wtedy jak Gogolewski był dyrektorem, on Szymańskiego ściągnął. I to była jakaś próba adaptacji, w której udział brali praktycznie tylko aktorzy teatru Osterwy. I to było właśnie „Pod Strzechą” pamiętam. Irek ciągle pisał, jakiś czas pisał dla telewizji, dla radia, były jakieś programy. Potem to wszystko gdzieś po stanie wojennym ucichło. Po prostu może nie było się z czego śmiać przez jakiś czas, trudno powiedzieć. W tej chwili kabarety to są takie scenki rodzajowe. My śledzimy cały czas te wszystkie kabarety. Musimy zawsze obejrzeć, co tam jest nowego.

### 24. Kultura uniwersytecka w Lublinie lat 70-tych

[Władze uczelni] raczej były nam przyjazne, raczej szcycili się, że coś takiego jest, że ta Akademia Medyczna nie jest gorsza. Wiadomo, UMCS miał chór i zespół pieśni i tańca [Zespół Tańca Ludowego] [Stanisława] Leszczyńskiego, Akademia Rolnicza miała chór. Potem, już jak odchodziłem z uczelni, to powstał Zespół Pieśni i Tańca Akademii Medycznej. Zresztą nasz asystent, który był Syryjczykiem, tańczył w tym polskim zespole ludowym i to świetnie tańczył te tańce ludowe. Wykształcił się u nas, zrobił specjalizację i potem wyjechał do Niemiec. Chór chyba cały czas istnieje. To już któreś pokolenie, już któryś dyrygent. Wielokrotnie dostaję zaproszenia na koncerty. Niektóre utwory się powtarzają, bo jest pewien zasób tych utworów chóralnych, które wpadają w ucho, nie są jakieś męczące i uduchowione, które nadają się na koncerty. Z tym chórem byliśmy na Ogólnopolskim [Turnieju] Chórów Legnica Cantant. To były lata, kiedy na tych ziemiach odzyskanych dopiero powstawały kopalnie miedzi, te miasta właśnie typu Legnica rozwijały się w szczerym polu. Tam wszystko było nowe, tam nie było ani jednego starego domu. To było dla nas zaskoczeniem. Bo każde miasto to miało jakieś śródmieście, jakąś starówkę, a te po prostu powstawały wśród wyciętego lasu przy kombinacie miedziowym, który tam się rozwijał. I całe śródmieście, wszystko było tak jak w Nowej Hucie. Widzieliśmy, że tam wszędzie są chodniki, fontanny, widzieliśmy, jak to wszystko było urządzone. Jak tu ludzie mają ładnie, jakie ładne bloki i wkoło piękny las, jak oni tutaj sobie

mieszkają. Zazdrościliśmy. Legnica nam się tak strasznie podobała. Na tym turnieju było ileś kategorii [konkursowych], chóry zawodowe, amatorskie, studenckie. W tej naszej kategorii, zajęliśmy z chórem Akademii Medycznej jakieś znaczące miejsce, chyba drugie. To była wyprawa kilkudziesięciu osób przez całą Polskę. Nie pamiętam, czy się chór mieścił do jednego autokaru. Samych dziewczyn było ze trzydzieści, czterdzieści. Gdzieś mam zdjęcia z występów w tych naszych mundurkach szytych w „Gracji” z takimi wielkimi muchami. To była jedyna firma, która potrafiła w takiej ilości uszyć kostiumy na miarę. Kostiumy dla kilkudziesięciu osób, a każdy w innym rozmiarze.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2016-04-12, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Joanna Majdanik
<b>Redakcja</b>	Agnieszka Piasecka
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"